

## Fragmenty wspomnień o moich pobytach na obozach harcerskich

[...] Pierwszym, symbolicznym wręcz, wydarzeniem, które stało się moim wyzwoleniem spod rodzicielskiej nadopiekuńczości, stał się obóz harcerski, na który pojechałem tuż po ukończeniu podstawówki – **w lipcu 1958 roku**. Było to zgrupowanie obozów Hufca Polesie, składające się z kilku podobozów, Komendantem zgrupowania był ówczesny Hufcowy – druż Marian Pietrzycki.

Dzisiejsi harcerze nie mogą mieć takich wspomnień obozowych, jakie mam ja. Dla przykładu opiszę jak wyglądały pierwsze godziny i dni naszego obozowania. Wszyscy uczestnicy – harcerki, harcerze i kadra instruktorska – przyjechaliśmy nocnym pociągiem z Łodzi do stacji Gołubie Kaszubskie. Do pociągu doczepiono wagon towarowy, w którym był załadowany cały sprzęt obozowy, to znaczy namioty (głównie tzw. „kanadyjki” – jednomasztowe namioty na planie kwadratu), wyposażenie kuchni dla czterech podobozów i „sprzęt saperski”, czyli piły, młotki, obcęgi i gwoździe...

Po opuszczeniu pociągu i przeładowaniu z owego wagonu towarowego całego sprzętu na wiejskie fury – wszyscy, pieszo, powędrowaliśmy – każda grupa – harcerek oraz harcerzy – bo wówczas owe podobozy były „jednopłciowe” – na wyznaczone wcześniej polany, czyli miejsca, w których miały być naszymi obozowiskami, ale gdzie jeszcze nic nie było... Do wieczora musieliśmy postawić tam namioty.. I jeszcze wyprawa do pobliskiej wioski z przywiezionymi z domu siennikami, które trzeba była nabić słomą. To na nich, leżących wprost na ziemi, przespaliśmy pierwszą noc. Bo dopiero następnego dnia, z żerdzi wyciętych w okolicznym lesie, zbudowaliśmy – własnoręcznie – prycze. Pamiętam, że ta, zbudowana w namiocie naszego zastępu, była bardzo wysoka..

A tym zastępem był był zastęp „Bawolów”, który tworzyliśmy my – harcerze z 60 ŁDH działającej przy SP nr 135 z Nowego Złotna. Nazwa zastępu powstała w odwróconej w stosunku do tradycji kolejności. Zwykle do ustalonej wcześniej nazwy zastępu szukało się w lesie tzw. totemu, czyli ustawionego przed namiotem znaku-symbolu. U nas zaczęło się od znalezienia w lesie wyrwanego pniaka z korzeniami, który po niewielkiej „obróbce adaptacyjnej” przypominał łeb tego właśnie zwierzęcia, z rogami oczywiście. I dlatego nazwaliśmy się „Bawołami”.

Na tym obozie byłem szeregowym harcerzem. Zastępowym został starszy o rok kolega, który poprzedniego lata „załapał się” na pierwszy po reaktywowaniu ZHP obóz, zorganizowany przez Komendę Hufca Polesie latem 1957 roku, w lesie w pobliżu wsi Bąkowa Góra nad Pilicą. Ale to że nie ja byłem zastępowym nie przeszkodziło mi w wymyśleni sobie innej roli, wyróżniającej mnie wśród pozostałych szeregowych członków zastępu. Tą rolą był **czarownik plemienia „Bawolów”**, w ramach której mogłem inicjować zabawy w Indian, podczas których opatulony kocem odgrywałem swoją rolę, „odczyniając” uroki, przepowiadając przyszłość itp. Skąd pomysł? Bo byłem po lekturze książki Arkadego Fiedlera „**Mały Bizon**”.

Dość tych obozowych wspomnień. Dobrze że byłem na tym obozie, i to nie tylko dlatego, że był to dla mnie pierwszy poligon samodzielności – cztery tygodnie bez opiekuńczo-ubezpieczającej „władzy rodzicielskiej”.[...]

**Źródło:** <http://obserwatoriumedukacji.pl/esej-wspomnieniowy-od-narozdin-wczesniaka-do-uczni-srb>

Drugim wydarzeniem był **mój debiut w roli opiekuna-wychowawcy**. Stało się to latem 1961 roku, kiedy nasz złotniański szczep zorganizował obóz w pobliżu wsi Złockie k. Muszyny.

---

Obóz rozbito na polanie, nad potokiem Szczawnik, a po jego drugiej stronie, w budynku, zlokalizowano pierwszą w dziejach Nowego Złotna kolonię zuchową. Jej uczestnikami były zuchy – dziewczynki i chłopcy – z dwu złotniańskich drużyn. Nie muszę mówić, że to ja zostałem jej komendantem, choć do pełnoletniości brakowało mi jeszcze kilku miesięcy. Formalnie mogłem tę funkcję pełnić, gdyż przyjechała z nami jedna z mam, która podpisała wszystkie dokumenty o odpowiedzialności prawnej. Oczywiście, był tam ze mną, o rok młodszy, Heniek Wesółowski...

To tam „posmakowałem”, nie tylko roli harcerskiego wychowawcy, realizując z zuchami atrakcyjny program zajęć, ale także roli opiekuna, odpowiedzialnego za bezpieczeństwo powierzonych mi dzieci, ale także za takie „prozaiczne” sytuacje, jak dbanie o ich higienę, wyżywienie (*Druhu, ja już nie chcę jeść, nie jestem głodny...*), i warunki odpoczynku... Snu... To tam pierwszy raz w życiu, zanim sam położyłem się spać, obchodziłem pokoje ze śpiącymi podopiecznymi, i jeśli było trzeba – okrywałem śpiącą(-ego) kocem, który zsunął się już po zaśnięciu... Wówczas jeszcze nie wiedziałem, że za 12 lat będę to robił zawodowo...

Za rok, w lipcu 1962 roku, byłem także na obozie harcerskim, ale już bez moich zuchów, tym razem w roli zastępcy komendanta zgrupowania ds. programowych. Obóz – oczywiście szczepu z Nowego Złotna, tym razem był umiejscowiony nad jeziorem Osiek k. Dobiegniewa, w miejscu nazywanym Ługi. Najważniejszym wspomnieniem z tamtego obozowania jest ostatnia noc, kiedy niespodzianie na częściowo zlikwidowane już obozowiska spadła burza z trąbą powietrzną – prawie jak w 2017 roku stało się to w Suszku. Namioty, porwane wicherą, znalazły się na drzewach, wszystko co mieliśmy i co mieliśmy na sobie było mokre, a spodziewane autokary nie przyjechały na czas, bo drogę tarasowały powalone drzewa...[...]

Źródło: <http://obserwatoriumedukacji.pl/esej-wspomnieniowy-od-kandydata-na-murarza-do-marynarza-cz-i/>

---